

TOMASZ SCHRAMM

<https://orcid.org/0000-0002-4102-6026>

Wydział Historii, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Inicjatywę podjęcia zbiorowej refleksji polskich historyków nad obecną chwilą polskiej historiografii, postrzeganą przede wszystkim przez pryzmat ostatnich 30 lat, uważam za bardzo cenną — tym bardziej że ukierunkowana ona ma być przez inspirujące konstatacje i pytania.

Rozpocząć wypada chyba od tego, które odnosi się do określenia obecnego już w pierwszym, napisanym przed chwilą zdaniu: czy właściwsze jest mówienie o historiografii w liczbie pojedynczej, czy też mnogiej. Zauważyć tu trzeba, że w ankiecie — określenia tego użyję jeszcze nieraz — występują obok siebie, wymienione jednym tchem, dwa pojęcia, bynajmniej nie tożsame: historiografia polska i historiografia Polski — i to przy tym drugim z nich pojawia się sugestia mnogości („historiografie — Polski, najróżniej rozumianej, dotyczące”). Różnicy między nimi objaśniać nie trzeba, widoczne jest natomiast, że kierują one postulowaną refleksję na dwie różne drogi myślenia.

Na razie zostawiam na boku myślenie o „historiografii Polski najróżniej rozumianej”, by skoncentrować się na historiografii polskiej, a więc na twórczości naukowej badaczy tworzących liczne grono historyków polskich. Rozstrzygnięcie, kogo do tego grona można zaliczyć, nie jest zerojedynkowe. Z jednej strony mam tu na myśli sytuację należącą do przeszłości — ale czy bez reszty przebrzmiała? — którą przypomniały zakończone właśnie prace nad monografią VII Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych (Warszawa 1933). Jego polscy organizatorzy zadbali o to, by w polskiej delegacji znaleźli się także Żydzi, Ukraińcy i Niemcy. Z drugiej strony chodzi mi o badaczy o przynależności „nie pojedynczej”, co zilustrować mogą takie nazwiska jak Piotr Wandycz, ale też Timothy Snyder czy Richard Butterwick-Pawlikowski. Dzielenie włosa na czworo, takie jak widoczne w poprzednim zdaniu, nie jest pozbawione pewnego sensu, ale nie wydaje się też potrzebne w chwili, gdy staramy się ogarnąć dokonania setek ludzi, wyrażające się tysiącami publikacji.

Założenie określone w ten sposób nie wydaje się wymagać użycia liczby mnogiej, czyli mówienia o „polskich historiografiach”. Przyjmuję, że jest ona jedna, chociaż niezmiernie zróżnicowana i tym samym bogata.

„Skąd przychodzimy [–] w historiografii polskiej?”. Niewątpliwie z tradycji nauki uprawianej przez naszych poprzedników oraz tych, którzy – jeszcze aktywni – swoim dorobkiem zdołali już także w tradycję ową się wpisać. Jeśli przyjmiemy, że data 1989 symbolizuje „czas istotnej zmiany czy też nawet «przełomu»” (cudzysłów oznacza, jak poprzednio, odwołanie się do ankiety), z całą pewnością nie oznacza ona dla obecnej historiografii polskiej „godziny 0”. I wolno, czy też trzeba stwierdzić, że w znacznej swojej części obecna twórczość historyków polskich – w sposób zróżnicowany i wartościowy prezentowana i reprezentowana w kolejnych numerach pisma określającego się jako „lustro polskiej historiografii” – przedstawia pod tym względem godną uznania ciągłość. Jest to jedna z odpowiedzi na pytanie o „najważniejsze i najbardziej inspirujące osiągnięcie ostatniego trzydziestolecia”.

Obok tego trzeba wymienić, wspomniane również w przywoływanej tu ankiecie, coraz ściślejsze związki z badaniami historycznymi prowadzonymi na całym świecie. One również należą do tradycji istniejącej przed owym umownym rokiem 1989, przerywanej najwyżej na kilka najciemniejszych lat. Wyraża się ta tradycja zarówno obecnością, chociażby skromną liczbowo, ale cenną, polskich nazwisk w obiegu międzynarodowym, jak też przyswajaniem nam nowych tendencji i osiągnięć historiografii światowej. W tym ostatnim względzie, jako przedstawiciel ośrodka poznańskiego, pragnę wspomnieć – nikomu należnych zasług nie odmawiając – nazwisko Jerzego Topolskiego. Jako przedstawiciel nie tylko starszego pokolenia, ale i historii dość tradycyjnej, nie zamierzam – świadom swojej ograniczonej kompetencji – rozwijać tej materii. Ale nie sposób jej przemilczeć. Dodać przy tym trzeba, że to otwarcie oznacza czerpanie inspiracji nie tylko dosłownie z całego świata, ale także z coraz śmielszego przekraczania granic między poszczególnymi dyscyplinami i dziedzinami nauki. Są to poszukiwania, a poszukiwaniom towarzyszy ryzyko błędzenia i prawo do tego. Powyższe moje słowa nie oznaczają więc fetyszycacji każdej nowinki – oznaczają jednak niewątpliwie uznanie dla otwartości. Wyrażenie zaś tego uznania nie jest postulatem, lecz konstatacją. Warto w tym miejscu przywołać fundamentalny artykuł Ewy Domańskiej *Wiedza o przeszłości, perspektywy na przyszłość* powstały, o ile się nie mylę, na prośbę redakcji „Kwartalnika Historycznego” i opublikowany w roku 2013, w numerze 2.

Rok 1989 — że pozostanę przy tym nieprecyzyjnym, lecz poręcznym skrócie — nie przyniósł więc, moim zdaniem, zasadniczej zmiany w sposobie rozumienia i uprawiania historii. Mam tu na myśli historię godną tego miana, oczyszczoną ze szlamu propagandy i przymusów cenzury PRL-owskiej. Przyniósł natomiast, niestety, także pewne odium wiązane z profesją historyka, a będące pochodną wspomnianego „zaszlamienia”. Tu nie odmówię sobie przytoczenia wspomnienia z pogrzebu mojego starszego kolegi, zmarłego jesienią 1992 r. Prowadzący pogrzeb ksiądz z emfazą podkreślał, że był on „historykiem, który nie kłamał”. Kolega ów był badaczem starożytnego Epiru... Natomiast, rzecz jasna, był to też czas otwarcia nowych, niedostępnych dotąd obszarów tematycznych, potocznie nazywanych białymi plamami. Dorobek ostatnich 30 lat w tym względzie nie może być pominięty przy spojrzeniu na polską historiografię — przy czym trzeba oczywiście oddać historiografii emigracyjnej i drugiemu obiegowi zasługę otwierania już wcześniej coraz szerszych szczelin.

Materia, o której mówią ostatnie zdania, była i pozostaje nieuchronnie naznaczona politycznie. Okoliczność ta niesie ze sobą dwa niebezpieczeństwa. Jednym z nich jest zabarwienie działalności naukowej historyków emocjami oraz myśleniem zideologizowanym — coś tak „ludzkiego”, że nie sposób tego całkowicie wyeliminować. Niemniej jednak dyrektywą towarzyszącą rzeczonyj działalności naukowej powinno być dążenie do minimalizowania tego mechanizmu. Niebezpieczeństwo zaś drugie to polityka historyczna. Odwołam się tu do moich własnych słów: „My nie uprawiamy polityki historycznej. My uprawiamy naukę historyczną”. W tym rozróżnieniu nie mieści się krytyka istnienia polityki historycznej, bo równie dobrze można by krytykować istnienie grawitacji. Nie mieści się nawet krytyka uprawiania tej polityki. Chodzi tylko o wskazanie, co do kogo należy. Do naukowców należy uprawianie nauki — zgodnie chociażby ze słowami przysięgi doktorskiej.

Rozgraniczenie tych dwóch działań jest trudne w praktyce — a nawet, mogłoby się wydawać, w teorii, gdy np. zastanowimy się nad zasadami istnienia takiej instytucji jak Instytut Pamięci Narodowej. Tu wyeliminowanie polityki historycznej jest nie do pomyślenia. Oznacza to jednak w tym wypadku, że badacze, zgoda, mają prowadzić zamówione badania — ale nie z założeniem dojścia do zamówionych wyników.

W ten sposób doszedłem do „historiografii Polski” — a więc nie tej, która jest domeną starożytników czy metodologów, czy autorów takich artykułów jak Bernard z Clairvaux, heretycy i poganie. *Próba interpretacji listu Bernarda w sprawie krucjaty słowiańskiej w 1147 roku czy Splątana historia rosyjskich i ukraińskich ideologii narodowych w najnowszych syntezach*

*Andreas Kappeler* i *Serhiia Ploky'ego* bądź książek *Saint-Simon i saintsimoniści – od rewolucji do kolonizacji*. *Historia pewnej religii (1803–1870)* czy *Dzieje opatów Moyenmoutier. Święci i relikwie w narracji o historii klasztoru* (są to przykłady wybrane z ostatnich kilku numerów „Kwartalnika Historycznego”; celowo ominąłem prace stykające się choćby śladowo z historią Polski). Gdyby drugie pytanie ankiety rozumieć jako pytanie o polską historiografię, odpowiedź na nie musiałaby być powtórzeniem tego, co padło już wyżej: winna ona być jak najbardziej zróżnicowana i tym samym bogata. Jednak wspomniana na wstępie niejednoznaczność znika w pytaniu trzecim, w którym jest mowa jednoznacznie o historiografii Polski.

Pytanie to jest w znamienny sposób binarne: stawia jednocześnie kwestię „czy nasza wspólna dziedzina wiedzy może pozostać wspólna” i „czy w historiografii/ach Polski jest miejsce na syntezę”. Pierwszą z nich odczytuję jako sugestię (obawę?), że może dojść do sytuacji, w której zróżnicowanie zmieni się w separację. Nie wyobrażam sobie tego mechanizmu w sferze powstawania nowych tendencji, tematów i problemów historycznych oraz związanych z nimi wyzwań metodologicznych. Celowo powtarzam w tym miejscu sformułowania z przywołanego wyżej artykułu Ewy Domańskiej, która pisze dalej: „popularyzacja tych tendencji nierzadko prowadzi do wyłonienia się nowych subdyscyplin w ramach badań historycznych [– –]. Z czasem zostają one zinstytucjonalizowane [– –], a w końcu stają się częścią klasyki i wchodzą do kanonu badań historycznych”.

Ta „pełnia” nauki historycznej nie koresponduje jednak w moim odczuciu z pojęciem „syntezy”, zwłaszcza użytym w liczbie mnogiej. Miejsce dla syntez w obrębie historiografii wydaje się istnieć w sposób oczywisty. Mogą to być syntezы zbiorowe, w których łączą się kompetencje różnych specjalistów. Ale istnieją też syntezы autorskie. Wciąż przemawiają do mnie napisane w 1950 r. słowa Stevena Runcimana (w przedmowie do *Dziejów wypraw krzyżowych*): „Wprawdzie pojedynczy autor nie może przemawiać z autorytetem przynależnym zespołowi uczonych, jednak ma on szansę nadania swojemu dziełu spójności, a nawet kształtu epickiego w stopniu nieosiągalnym dla żadnego ciała zbiorowego”. W 60 lat później, gdy historiografia bardzo postąpiła do przodu, Jürgen Osterhammel swoim monumentalnym *Die Verwandlung der Welt. Eine Geschichte des 19. Jahrhunderts* udowodnił, że autorska synteza wciąż jest możliwa i to osiągając skalę prawdziwie globalną, co w czasach Runcimana wydawało się nie do pomyślenia.

Po tej krótkiej dygresji wracam do historiografii Polski. Syntezy na skalę naszych rodzimych dziejów są tym bardziej możliwe i to także

syntezy autorskie. Wystarczy podać przykład historii XIX w.: po klasycznej, służącej wielu pokoleniom studentów książce Stefana Kieniewicza, wydanej po raz pierwszy w 1968 r., w 32 lata później („to więcej niż jedno pokolenie” — że jeszcze raz sięgnę po słowa z ankiety) pojawiło się dzieło Andrzeja Chwalby, w widoczny sposób inaczej pomyślane. A w roku 2013 — trzytomowe (niebawem uzupełnione o tom czwarty) *Historie Polski w XIX wieku* pod redakcją Andrzeja Nowaka — w tym wypadku praca zbiorowa. Jej jednak również można przyznać cechy autorskie, chociażby ze względu na wstęp do tej edycji, gdzie zresztą redaktor całości eksponuje właśnie dwie wspomniane syntezy. Jest to zarazem znakomita ilustracja przytoczonych wyżej słów o „autorytecie przynależnym zespołowi uczonych”. Notabene zastanawiać może, że w swoim chronologicznym „osamotnieniu” wydawnictwo to podzieliło los dzieła Stefana Kieniewicza... Za ileś lat niewątpliwie pojawi się kolejna historia Polski w XIX w., w której znajdzie odbicie ówczesny „czas historiograficzny”.

Andrzej Nowak mierzy się ponadto w pojedynkę z całym dziejami Polski. Można rzec, że w obu wskazanych publikacjach czynem sam odpowiada jako badacz na swoje jako inicjatora ankiety pytanie o syntezę. Autorowi *Dziejów Polski*, rekomendowanemu przez wydawcę jako „zdeklarowany patriota i zdeklarowany katolik”, przyznać można z pewnością miano historiozofa. Pojęcie historiozofii może bardziej niż inne wiązać się z ryzykiem separacji, o którym nadmieniałem nieco wyżej, i zamykania się w „bańkach” — zwłaszcza gdy będzie ona schodzić na poziom publicystyki. Mam jednak nadzieję, że ryzyko to nie spełni się na poziomie godnie uprawianej nauki historycznej.

Nie mam więc problemu z odpowiedzią na trzecie pytanie ankiety — przynajmniej, gdy mówiąc o historiografii operuje ono liczbą pojedynczą. Natomiast do odpowiedzi na pytanie czwarte podchodzę z niemałą obawą. Znamionować ją może ton nostalgii (czy nie zdeformowanej?) za „dawnymi dobrymi czasami”. Wydaje mi się, że imperatyw służby społeczeństwu/narodowi nie brzmi obecnie tak, jak wtedy, gdy powstawał „Kwartalnik Historyczny”. Służbę tę można było pełnić pod warunkiem, że ów przedmiot działania uznawał autorytet nauki historycznej i jej przedstawicieli. Autorytety nadal są obecne w naszym środowisku — ale uznawane przez samo środowisko. Ma to swoją autentyczną wartość. Prawdziwy autorytet istnieje na zasadzie powszechnego konsensusu. Obecnie w przestrzeni publicznej postępuje proces erozji autorytetu jako takiego, naturalnie również we wskazanym przed chwilą obszarze, któremu poświęcona jest ta ankieta. Postulat zaś służenia przez historię narodowi zdaje się raczej ustępować dążeniu do sprawowania rządu dusz. Oba te zjawiska łącznie nie skłaniają do optymizmu.